

Everybody dance now!

14 września 2022



O spektaklu „Znachor” wg Tadeusza Dołęgi-Mostowicza w reż. Jakuba Roszkowskiego w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie pisze Piotr Gasczyński.

Krakowski Teatr im. Juliusza Słowackiego rozpoczął sezon 2022/2023 z kempowym, tiulowo-pluszowym przytupem. *Znachor* w reżyserii Jakuba Roszkowskiego nie tyle mierzy się z kultowym filmem, co zwraca uwagę na swego rodzaju przesyt dziełem Hoffmana (bo przecież nie Dołęgi-Mostowicza, którego nikt dawno nie czyta). Coś, co funkcjonuje w masowej świadomości, jest znane wszystkim, nie może zostać zreinterpretowane inaczej, niż przez ironiczną dekonstrukcję.

Znachor jest dla polskiej kinematografii tym, czym *Kevin sam w domu* dla bożonarodzeniowej ramówki Polsatu. Obie produkcje, choć na dwóch estetycznych biegunach, pełnią tę samą rolę – wrosły w polską popkulturę tak głęboko, że nikt nie wyobraża sobie święta wolnego od pracy, majówki, Wielkanocy itd. bez melodramatycznej historii profesora Wilczura aka Kosiby. Dość powiedzieć, że na przełomie kwietnia i maja 2022 roku *Znachor* pojawił się w różnych stacjach telewizyjnych 15 razy!

Krakowskie przedstawienie umiejętnie operuje przesytem. Ponieważ wszyscy dokładnie znają fabułę tej opowieści, twórcy nie wytrącają widzów z komfortowego przewidywania kolejnych wydarzeń. W zamian za to, oferują terapię szokową na płaszczyźnie estetycznej spektaklu. Scenografia składa się z kilku ruchomych platform, które w zależności od potrzeby chwili zbliżają się do widzów, lub obracają tyłem, usuwając się w cień. Każda z nich mogłaby być samodzielną, artystyczną instalacją. Sklep, w którym pracuje Panna Marysia to hiperdewocjonalia z półkami pełnymi różowych i fluorescencyjnych, plastikowych Maryjnych figurek. Dom młynarza ozdabia obraz Matki Boskiej z przytwierdzonymi do ściany wotami. Z kolei w siedzibie Hrabiego / salonie Wilczura znajdziemy tandetne elementy, świadczące o megalomanii połączonej z kompletnym brakiem gustu. Pojawia się nawet wycięty z kartonu owczarek niemiecki, potocznie zwany przecież wilczurem. Są i ukwiecone groby, spokojnie czekające na dramatyczne losy Leszka i Marysi. Dla mnie absolutnym hitem jest ściana z kartonów „imienia Hanki Mostowiak”, która to staje się miejscem wypadku motocyklowego dwojga kochanków.

Twórcy z pełną premedytacją wybebeszają na wierzch *Znachora* jego swoisty kod kulturowy – w gruncie rzeczy dość prostą, łzawą historię ze szczęśliwym zakończeniem, którą oglądamy cyklicznie od wielu lat. Świat przedstawiony przez Roszkowskiego to odpowiedź na sytuację, w której Kowalski, wzdychając przed telewizorem „O nie, znowu ten *Znachor*”, nie przeląca kanału, ale daje się uwieść tej samej historii po raz setny. Skierowanie się ku świadomej tandecie, kiczowi jest próbą wyrwania się z zakłętego kręgu jednopłaszczyznowego odbioru powieści / filmu. Reżyser zdołał przekonać aktorów do pobawienia się w *Znachora* i to widać – postacie prowadzone są lekko, z dystansem, można powiedzieć, że dostają drugie (po filmowym) życie. Nie inaczej jest w warstwie kostiumowej. Bohaterowie noszą kolorowe stroje ozdobione cekinami czy innymi ekstrawaganckimi dodatkami. Nawet Kosiba ma bardziej hipsterski niż włóczęgowski sweterek. Nie sposób zapomnieć o ważnej dla całego spektaklu warstwie muzycznej. Przy akompaniamencie tercetu ubranego w lekarskie kitle możemy usłyszeć nie tylko utwór przewodni przedstawienia *Everybody dance now* (zarówno w wersji dyskotekowej, jak i kapitalnej aranżacji ludowej), ale i m.in. *Bad Guy* czy *Somethin’ Stupid*.

Całość spektaklu jest dobrze przemyślanym i precyzyjnie skonstruowanym teatralnym żartem – z konwencji melodramatu, a także z kultowego statusu *Znachora* w zbiorowej świadomości. Choć skupienie się na warstwie estetycznej spektaklu nieco spłyściło utwór Dołęgi-Mostowicza (jak chociażby przez skrajnie stereotypowy obraz wsi jako świętoszkowatej i ksenofobicznej krainy zacofanych ludzi), to przedstawienie jako całość, pomyślane jako zabawa z oczekiwaniami widzów (zwłaszcza tych starszych, którzy być może spodziewali się wiernej, wzruszającej kopii znanego im filmu), broni się jako całość. *Znachor* może się podobać lub nie, ale jest spójny w swoich założeniach od początku do końca.

Pierwsza premiera nowego sezonu w Słowackim daje nadzieję na to, że obecnie najważniejsza krakowska scena będzie konsekwentnie iść swoją drogą, kontynuując ścieżkę obraną przed kilkoma laty. *Znachor* jest tego dobrym prognostykiem.

fot. Bartek Barczyk

Komentarze

Udostępnij